

NATALIA KUBICIUS



BIAŁY I CZARNA

DZIECI Z KAMIENIA

NATALIA KUBICIUS

BIAŁY I CZARNA

DZIECI Z KAMIENIA



empik  selfpublishing

Copyright © Natalia Kubicius, 2026

Redakcja: Marta Tojza – W sieci słów

Korekta: Anita Głowacka

Skład i łamanie: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Ilustracje, projekt okładki, mapy oraz asteryski: Martyna Pęcak – Softywan

Wydanie pierwsze

Cieszyn 2026

ISBN 978-83-955141-6-6

Książka jest objęta ochroną prawa autorskiego. Wszelkie udostępnianie osobom trzecim, upowszechnianie i upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Chcesz samodzielnie wydać książkę, ebook lub audiobook? Załóż konto w strefie autora na selfpublishing.empik.com i sprzedawaj swoją książkę w Empik.com

empik  selfpublishing

*W miarę mądry winien być człowiek,
Nigdy zbyt uczony;
Jeśli losu swego nie wiesz naprzód,
Żyjesz od trosk wolny.*

Hávamál. Pieśni Najwyższego, tł. A. Załuska-Strömberg

ARDA

SOIR

JORD

WOLNE
MIASTO
ÓRN



ARCHIPELAG PÓŁNOCNYCH WIATRÓW



MORZE
OLLP FALLA



FEERIA



FRÆDIM



oda zdążyła już dawno wystygnąć, ale nie zniechęciło to księżniczki do długiej kąpeli. Nigdy się nie spieszyła, robiąc w ten sposób na złość cierpliwie czekającej za drzwiami służce. Choć Hygga od dawna czuwała nad książęcą córką, wciąż wydawało się, że niespełna trzynastoletnia bękar-cica wzbudza w niej głębokie przerażenie.

Słusznie, stwierdziła z satysfakcją dziewczyna.

Trąciła lewą stopą powierzchnię nieprzyjemnie zimnej wody, nabierając na palce kłęb gęstej piany. W powietrzu unosił się zapach lanuińskiej oliwy, z której wytwarzano mydło. Księżniczka mogłaby poprosić o podgrzanie kąpeli, a Hygga niezwłocznie przyniosłaby wiadro z ciepłą wodą. Ale nie chciała, by ktokolwiek zakłócał jej ten mały rytuał. Zresztą i tak odczuwała chłód tylko w połowie ciała, więc szkoda było zachodu.

Znała życie wyłącznie od jednej strony.

Zanurzyła jedyną sprawną dłoń. Powiodła nią po udzie, aż dotarła tam, gdzie jakimś sposobem dotyk odbierała w pełni. Odchyliła głowę i zamknęła oko. Lewa część ciała zesztyniała, podczas gdy prawa pozostała nieczuła, obojętna. Dziewczyna westchnęła, po czym zrezygnowana wyjęła rękę na powierzchnię i rozchyliła powiekę. *Nie dziś*, postanowiła. *Dzisiaj nic mnie nie wzruszy*.

– Wasza... Wasza Książęca...

– Daj mi jeszcze chwilę! – zawołała do drepczącej za drzwiami służki.

Chwila mogła równie dobrze trwać w nieskończoność. Księżniczka potrafiła godzinami zagłębiać się w refleksje natury górno-lotnej lub do cna przyziemnej. Podczas zeszlotygodniowej kąpieli niemal rozwikłała problem, nad którym od wieków głowili się skaldowie. Co tak naprawdę miał na myśli Sturla „Skalli” Skallabarn, poeta nad poetami, wyślawiający w jednej z pieśni „łzoleję szat warstwami okrytą, trzeźwej krzepy strażniczkę”? Dziewczyna przeczytała w jednym z opracowań dzieł skalda, że mogło chodzić o którąś z jego licznych kochanek – szczególnie tych pochodzących z dalekiej północy, z Archipelagu Północnych Wiatrów. Niewykluczone również, że uosobił w ten sposób zimę, uczynił z niej piękną panią odzianą w futra, grzejącą łoża samotnych mężczyzn. Oczywiście wielki uczony z Arnhain, autor owego opracowania, nie wyraził się w ten sposób, ale niewątpliwie właśnie to chciał przekazać, tłumacząc swoją interpretację „powszechną rozwiązłością mistrzów poezji”.

Księżęca córka lubiła skaldowskie pieśni – szczególnie takie, w których było czego się doszukiwać. Jednak po długotrwałej refleksji nad tajemniczą frazą doszła do wniosku, że Skalli albo odniósł się do opisywanej kobiety z daleko posuniętym lekceważeniem – poprzez nazwanie jej „łzoleją” – albo zupełnie nie miał na myśli żadnej pani, pięknej bądź nie. Wyobraziła sobie skalda w prawdopodobnie typowej dla niego sytuacji – zmarnowanego po całonocnym pijaństwie i głodnego jak skurczysyn. Nawet jeśli u jego boku leżała naga, powabna dziewczka, nie ona stanowiła obiekt pragnienia poety. *Co ma wiele warstw, wywołuje łzy i pomaga przy niedogodnościach trzeźwienia?*, zastanawiała się księżniczka.

I wtedy ją olśniło. Oczywiście, że cebula, stwierdziła bez wahania i przypomniała sobie, że w pałacu zwykło się jadać zupę z tego warzywa po suto nakrapianych ucztach. Zobaczyła oczami wyobraźni, jak zawstydzona odkryciem wszystkie mądre głowy Arnhain, jak oniemiała mnisi nerwowo wertują stronicę zbioru poezji Skalliego i przekonują się, że to, co gęsto przelewa się w jego twórczości,

nie jest efektem wrodzonej romantyczności, lecz wyjątkowo mocnym trunkiem.

Na szczęście zdążyła powiedzieć o tym Eylan, zanim ta wyruszyła do Dathuil, by całą zimę spędzić wśród adeptów Proroka Urinna. Zapewniła siostrzyczkę, że zyska powszechny szacunek, gdy wspomni o „łzolei” na zajęciach poświęconych poezji. Jedyne, czego żałowała, to tego, że nie będzie mogła zobaczyć reakcji mnicha – rozdziawionej gęby i poczerwieniałych policzków.

Ale to wydarzyło się tydzień temu. Dziś chciała zatęsknić za Ebbem Ællingiem, którego ojczulek Glaodhar wysłał jako eskortę dla Eylan. Należący do najbardziej zaufanych ludzi księcia gwardzista był pierwszą i jak dotąd jedyną fascynacją księżniczki. Kaczątko – bo tak nazywała w myślach o wiele starszego od siebie mężczyznę, ze względu na zwierzę widniejące w jego rodowym herbie – miał to do siebie, że nigdy nie śmiałby splamić swego honoru, przy czym bardzo łatwo dawał się wpłatać w niedwuznaczne sytuacje. Ileż to razy dziewczyna pozorowała skurcz w lewej nodze, by zatroskany Ebbe zaniósł ją do komnaty, a przy okazji rozmawiał rzekomo obojętne miejsca. Ileż razy podczas spacerów po pałacowym parku przyłapywała rycerza na pokątnym załatwianiu swoich potrzeb, by zobaczyć to i owo. W którymś momencie przestała widywać go w tych niezręcznych okolicznościach, co powinno było ją zasmucić. Zamiast tego jednak poczuła dumę, bo oto skłoniła swego wybranka do większej dyskrecji, a może nawet do częstszego korzystania z wychodka.

Nie miała szans, by kiedykolwiek zostać księżną Ardy, sądziła więc, że kwestia jej zamążpójścia nie będzie nikomu zaprzętać głowy. Zresztą nie potrzebowała nawet ślubu – jedyne, czego pragnęła, to pełna swoboda, wzmocniona autorytetem przynależnym księżniczce. Na swój sposób była wdzięczna bogom, że nie uczynili jej prawowitą córką lokalnego władcy.

– Możesz wejść! – zawołała w końcu, gdy przypomniła sobie o wciąż czekającej służce.

Opierała się o ramię Hyggi, gdy ta osuszała jej ciało lnianym ręcznikiem. Lewa strona wyraźnie odczuwała drżenie rąk młodej kobiety, ciągną niepewność w bliskim kontakcie z bękcicą. Księżniczkę kusiło czasem, by zniemacka ugryźć Hyggę w przedramię albo pochłapać namydloną wodą, ale ostatecznie się powstrzymywała. Przyznała, że byłoby to dość dziecinne, poza tym lubiła tę wystraszoną gąskę. Uniżona postawa służki wzmacniała w księżcej córce poczucie wyższości.

Nie wiedziała, czy Hygga obchodzi się z jej prawą nogą delikatnie, jednak była przekonana, że osusza ciało równie ostrożnie i pieczołowicie. Wspierając się na obydwu ramionach młodej kobiety, księżniczka wydostała się z drewnianej bali i oparła kolejno stopy na macie chroniącej przed zimnem kaflami.

– Hyggo. – Łypnęła znacząco jedynym sprawnym okiem. – Dam sobie radę sama.

Gaska wciąż nie pojmowała, że nie powinna wyręczać we wszystkim swojej pani. Bękcica przyjmowała to z cierpliwością i wyrozumiałością, chociaż z reguły każdy przejaw litości doprowadzał ją do białej gorączki.

Podparta drewnianą laską, pokuśtykała ku toalecie, a następnie – tym razem bez propozycji pomocy – usadowiła się na taborecie dopasowanym do jej wysokości, na wprost lustra.

– Zaplatamy? – spytała Hyggę, rozdzielając palcami mokre, opadające na lewą stronę włosy księżniczki.

– Niech będzie.

Po prawdzie nie zależało jej na wyszukanej fryzurze – prędzej na tym, by pogawędzić ze służką. Hygga była jedną z niewielu osób, którym księżka córka szczerze ufała i których nigdy nie posądziłaby o plotki na swój temat. Dostrzegając w gąsce zbyt wiele naiwnej dobroci.

– Ile siwych? – spytała nerwowo, gdy kobieta rozczesywała grzebieniem czarne kosmyki. – Tydzień temu wyrwałam sześć.

– Na razie nie... Oj, widzę jeden. – Księżniczka poczuła lekkie ukłucie, kiedy Hygga pozbywała się niechcianego włosa. – Ale jest ich mniej. Coraz mniej.

– Może czarnych też ubywa? – rzuciła ostro bękarca, spoglądając na fryzurę w lustrze. – A co, jeśli zrobię się całkiem łysa?

– Zobacz, tu odrastają nowe. – Służka pokazała króciutkie włoski tuż przy czole.

Księżniczka wlepiła jednak wzrok w drugą połowę głowy, idealnie gładką.

Choć mogła być wdzięczna bogom za to, że całkowicie nie odebrali jej włosów, żyła w nieustannym lęku, że utraci te, które zostały. Podczas jednej z kąpeli próbowała nawet policzyć wszystkie opadające na lewą stronę kosmyki, by później, z tygodnia na tydzień, porównywać wyniki. Nigdy nie zdołała oszacować, ile mogło ich być, co musiało pozostać dla niej wystarczającym pocieszeniem.

– Myślisz, że Eylan dotarła już do Dathuil? – zagadnęła, chcąc porzucić temat włosów.

– Powinna niedługo być na miejscu. – Służka kończyła zapłatać pierwszy warkoczek. – Nie jest ci zimno, Wasza...?

– Błagam, tylko bez tytułów. Dla ciebie jestem Litie, jasne? – Posłała groźne spojrzenie w kierunku lustra, na co Hygga posłusznie przytaknęła.

Nie musiała zbytnio się starać, by wzbudzać lęk. Wystarczyła surowość bijąca z lewego oka, prawe bowiem – ślepe i przysłonięte bezwładną powieką – samo w sobie wyglądało co najmniej niepokojąco. Wystarczyło, że się nie uśmiechała – prawy kącik ust opadał w grymasie wiecznego niezadowolenia. Z kolei gdy lewy unosił się pod wpływem radości, całość prezentowała się nie tyle komicznie, ile zatrważająco. Na szczęście księżniczka nie sepleniała, ojczulek zadbał, by od małego uczono ją dykcji.

Każdego dnia spoglądała na swoje odbicie, by pogodzić się z tym, co widzi. Nauczyła ją tego leidzka kapłanka, której Litie

zawdzięczała umiejętność czytania i pisanie. Rozmawiały o tym, gdy księżniczka bez ogródek spytała o paskudne blizny biegnące od szyi po dekolt, które kobieta nosiła po starciu z niedźwiedziem. Kapłanka codziennie mierzyła się z oszpecającą pozostałością po zębach i pazurach, bo w jej przekonaniu ucieczka od lustra oznaczała ucieczkę od samej siebie. A wtedy życie nie było tym, czym być powinno.

Litie najprawdopodobniej nie miała leidzkich korzeni, jednak za sprawą kapłanki ogarnął ją hardy duch ludzi północy. Nigdy nie mogła doszukać się czegoś podobnego u swojej macochy, księżnej Laevie pochodzącej z Leidhy.

Gdy Hygga zaplatała kolejne warkoczyki, księżniczka pojedynkowała się na spojrzenia z własnym odbiciem. W jaskrawozielonym oku, przechodzącym w brąz wokół źrenicy nie dostrzegała traumy, którą niewątpliwie nosiła tamta kapłanka. Widziała raczej nieprzepracowany jeszcze gniew i skrytą za nim bezradność. To matka musiała być temu winna – konkubina ojczulka, która rzekomo opuściła dwór, by nie wywoływać skandalu. Glaodhar spłodził trzy córki, każdą z inną kobietą, przy czym dwie z nich promieniały nieskalanym... *Cóż, może piękno to za dużo powiedziane*, stwierdziła. Ale obydwie siostry Litie, pochodzące z prawego łóża, nie mogły się skarżyć na poważne ubytki w wyglądzie.

Matka zabrała jej połowę jestestwa i kto wie, czy nie wzięła ze sobą w pośmiertną wędrówkę za Aen Tre. Bękarcica czuła jej obecność na wyłysiałej do połowy głowie, w leniwej powiece, opadniętym kąciku ust i obwisłej piersi. Matczyzna krew zastygła w bezwładnej ręce i nodze, zupełnie bezużyteczna. Na szczęście księżniczka miała ojczulka, przywódcę ardyjskiej watahy, o sercu słodkim jak świeży miód. Glaodhar darzył głębokim uczuciem każdą ze swych córek. I niewykluczone, że Litie kochał najbardziej.

Raz jeszcze rzuciła okiem na odbijającą się w lustrze dorastającą dziewczynę, której urodę nieco poprawiły warkoczyki. Uśmiechnęła się, mimowolnie odrobinę złowieszczo.

– Wiedziałaś, że niektóre Ardyjki czeszą się tak samo? – Zerknęła przez zwierciadło na Hyggę stojącą pokornie ze splecionymi dłońmi. – Gołą połowę głowy, a włosy układają na bok. Podobno wzbudzają wtedy większy respekt. Mówią, że to fryzura „na Litkę”.

Hygga wydawała się zmieszana, ale nie zdołała powstrzymać przelotnego uśmiešku. Litie zachichotała, co ośmieliło służącą, by również się zaśmiać.

BREA BORDA

ie ruszaj się. – Odgarnął jej włosy za lewe ucho. – Policzę do trzech i będzie po wszystkim. Raz...

Talla zerwała się gwałtownie z dłonią przyciśniętą do blizny, jak gdyby rana na powrót się otworzyła. *Skurwiel skłamał. Nie doliczył nawet do dwóch.*

W snach bolało prawie tak mocno jak naprawdę.

Przywitał ją półmrok świtu, w oddali słyszała piskliwy trel. Koń Bez Imienia najwyraźniej preferował wczesną porę pobudki, bo Soirka zastała go skubiącego trawę. Co innego Andhee, jasno-gniada kłacz Rhandyjczyka, dla której sen był smaczniejszy niż poranna rosa.

Talla niemal zapomniała, gdzie i z kim podróżuje. Pierwsza przypomniła jej o tym burza rudych pukli, z których jeden niemalże łaskotał Soirkę po twarzy. Płomyczek musiała mieć jakieś niepokojące sny, bo nerwowo zaciskała powieki i zginała palce, jakby chciała coś uchwycić.

Za wygasłym paleniskiem rysowały się dwie sylwetki, większa i mniejsza. Jedna należała do mężczyzny... *Gdzie tam mężczyzny*, parsknęła w myślach kobieta. Iogaira – po starojordyjsku „smarkacza” – którego z niepojętych dla Talli powodów upodobała sobie jej siostra, Cliste. Druga postać niemal rozpyływała się w półmroku, choć Soirka wypatrzyła drżenie delikatnej, ciemnej dłoni. Myśl, że Órnyjczyk mógłby porwać Rhandyjczyka, wydała jej się teraz do cna absurda. Coś jednak było nie tak z tym chłopakiem – była

od niego dziwna, nieprzyjemna aura. O takich jak on zwykło się mawiać, że Śmierć siedzi im na ramieniu.

Przeciągnęła się i powoli wstała, by rozprostować kości. Zamierzała samotnie pójść na stronę, a później poszukać czegoś do jedzenia, ale nawet najcichsze ruchy obudziły dziewczynkę.

– Pani Talla – mruknęła, z trudem rozchylając powieki.

– Dzień dobry, Płomyczku – odparła półszepem kobieta. – Śpij, jest jeszcze wcześnie.

– Poczekaj... – Rudowłosa wyciągnęła rękę w stronę Soirki i ziewnęła przeciągle. – Pójdę... pójdę...

– Dam sobie radę, zostań – powiedziała Talla z naciskiem, ale też odrobiną czułości.

Zupełnie jak nie ona.

Płomyczek nie dała jednak za wygraną i po dłuższej chwili była już na nogach, otrzepując spodnie z ziemi i liści. *Jak nazywała je ta krawcowa?*, zastanawiała się Soirka. *Szerawary?*

– Zbójcekie! – przypomniała jej dziewczynka, gdy przedzierały się przez las w poszukiwaniu grzybów, owoców, a być może również orzechów czy jajek.

– Mogłam wziąć też takie dla siebie – stwierdziła Talla, odruchowo spoglądając na swoje krocze. Spodnie nie wyglądały na najczystsze. Nieznośna plama będąca skutkiem miesięcznego krwawienia na szczęście dała się wyprać, a pojawieniu się nowej Soirka tym razem skutecznie zapobiegła.

– Powiedz mi – Płomyczek nagle spochmurniała – czy przez całą noc leżałam obok ciebie? Czy...

– Co masz na myśli? – zdziwiła się Talla. – Chodzisz we śnie?

– No... coś w tym rodzaju. – Rudowłosa spuściła głowę i nerwowo założyła kosmyk za ucho.

– Nie wiem, bo spałam. – Soirka wzruszyła ramionami, po czym naraz ją olśniło. – No właśnie, kiedy pierwszy raz zajęchałam do oberży twoich staruszków... W każdym razie to trochę niebezpieczne, zwłaszcza w lesie. Mogłabyś się zgubić.

Płomyczek nie odpowiedziała, co było do niej kompletnie niepodobne. *Wszystko dziś jest jakieś inne...*, pomyślała Talla. *A może to tylko aura wczesnego poranka?*

Szły przez jakiś czas w milczeniu. Po drodze znalazły kilka krzaków z żurawiną, już pociemniałą o tej porze roku. Soirka zobaczyła oczami wyobraźni porządną porcję kaszy albo gulaszu, którą zamierzała wciągnąć w najbliższym mieście. Tego leśnego niedostatku nie mogła już znieść, choć minęła dopiero pierwsza doba wędrówki.

– Na razie powinno wystarczyć – stwierdziła, gdy chustę pełną owoców ledwie dało się związać. – Jeszcze chyba zostało coś z wczoraj.

W drodze powrotnej Płomyczek była równie małomówna. Talla nie przejęła się tym na tyle, by zapytać dziewczynkę o samopoczucie, jednak wyraźnie czuła bijące od niej napięcie.

Gdy wróciły do wygasłego paleniska, chłopiec i mężczyzna wciąż spali. Dopiero odgłosy krzątania zbudziły starszego z nich. Órnyczyk przeciągnął się z pomrukiem, eksponując obszarpane do połowy rękawy granatowej tuniki.

– A to niespodzianka – rzucił zamiast powitania i uśmiechnął się szeroko. – Byłem pewien, że już was nie zastanę.

Talli cisnęła się na usta kąśliwa odpowiedź, ale ostatecznie ugryzła się w język. Trafnie jednak przewidziała, że nie powstrzyma to iogaira przed gadaniem.

– Co tam macie dobrego? – Zerknął na zawiniątko. – Maliny, borówki i jeszcze raz maliny?

– Tym razem żurawina. I trochę konfitury. – Talla sięgnęła po słoik z torby Płomyczka, a następnie odkręciła wieczko i zajrzała do środka. Chociaż był jeszcze w połowie pełny, nie miała ochoty uszczuplać go choćby o garść.

– Ech, gdybym miał łuk... może bym ustrzelił jakiego zająca – rozmarzył się Órnyczyk, założył ręce za głowę i oparł się o pień. – Ale jakoś damy radę, co nie? Skoro jeszcze tu jesteście...

Talla najwyraźniej spojrzała na niego groźniej, niż zamierzała, bo natychmiast urwał, odchrząknął i spuścił wzrok.

– No właśnie, pani... – Płomyczek ugryzła się w język. – Dokąd teraz pójdziemy, Tallo? Skoro w Órn jest niebezpiecznie...

– Szczerze odradzam – wtrącił rycerz, zakładając nogę na nogę.

Soirka milczała przez dłuższą chwilę. Wiedziała, że to, co zaraz powie, nie spodoba się nikomu.

– Już postanowiłam. Pojedziemy do Froska, my dwie albo wszyscy, bez znaczenia. Daruję twojemu staremu dług.

Dziewczynka z początku pobladła, zaraz jednak jej łagodną z natury twarz spowił gniew.

– Chyba sobie żartujesz! – huknęła, zacisnęła pięści i kopnęła z całej siły drewno nadpalone zeszłego wieczora. – Nie taka była umowa!

– Co za dług? – Órnyczyk natychmiast się zainteresował.

– Nie będę pazerna, zwłaszcza wobec biedaków – rzuciła sucho Talla. Po pełnej dezaprobaty minie dziewczynki oceniła, że określenie „biedacy” nie zabrzmiało dobrze. – Moja duma na tym nie ucierpi.

– Nie zgadzam się. – Płomyczek zmierzyła surowo kobietę. – Miałaś mnie uczyć, miałaś... Miałam być twoim giermkim!

– Już i tak za dużo się napatrzyłaś. Na wszystko, co najgorsze. Jeszcze jak pomyślę o tych twoich snach...

– Czyli chcesz się mnie pozbyć, tak? Wielka mistrzyni kart gardzi biedakami?

– To nie był dobry pomysł, Płomyczku. – Talla starała się zachować cierpliwość, ale przychodziło jej to z trudem. – Nie bierz tego do siebie, po prostu...

– Po prostu ludzie się nie myślą co do ciebie. Jesteś dokładnie taka, jak cię opisują.

– To znaczy? – Soirka podniosła głos i podparła się pod boki. – No śmiało, mów. Powiedz, kto tu jest najbardziej pyskаты.

Dziewczynka mocniej zacisnęła pięści. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, między nią a Tallą stanął Órnyjczyk.

– Hola, hola, drogie panie. – Odsunął kobietę i dziewczynkę od siebie. – Coś mi się zdaje, że mamy tu nieprzepracowane smutki i pretensje.

– Nie wtrącaj się, iogair – syknęła Soirka. – To nasz problem.

– Jestem innego zdania – odparł beztrząs, niewzruszony wiszącym w powietrzu napięciem. – Swoim trajkotaniem obudziłyście Wichra. A zdaje mi się, że chłopak lubi sobie pospać.

Spojrzał w stronę towarzysza. Rhandyjczyk był jeszcze na tyle zaspany, że ewidentnie nic a nic nie pojmował z zaistniałej sytuacji.

– Jeśli mamy razem podróżować – kontynuował rycerz – a wychodzi na to, że idziemy w tym samym kierunku, nie możemy się nawzajem zagryzać.

– Zgadzam się – przyznała hardo Płomyczek, na co Talla odpowiedziała grymasem i uniesieniem lewej brwi.

– No więc? – Órnyjczyk skrzyżował ręce. – Jaki dług, jakie sny? Zaintrygowałyście mnie, nie powiem!

Zaśmiał się, co jeszcze bardziej rozdrażniło Soirkę. Była bliska stanowczego polecenia, by iogair spierdała w podskokach.

– Talla wzięła mnie w zastaw – rzuciła dziewczynka, nie spuszczając wzroku z kobiety. – Po tym, jak ograła mojego ojczyma w hnefnę i zażyczyła sobie niestworzonych rzeczy!

– Uczciwie zażądałam – wtrąciła z naciskiem kobieta. Nie mogła uwierzyć, że bierze udział w tej idiotycznej dyskusji. – Twój ojczym na wszystko się zgodził.

– A to nie jest zabronione? Zastaw ludzki? – Iogair chwycił się za podbródek.

– Czemu tak właściwie zamierzałaś zabrać mnie do Órn? – spytała podejrzliwie rudowłosa. – Nie chce mi się wierzyć, że chodziło o twoją siostrę.

– Nie mieszaj do tego Cliste! – Talla tym razem nie powstrzymała wybuchu. – Dajcie jej, kurwa, wszyscy spokój!

Na moment zapadła głucha cisza, którą przerwało nerwowe westchnienie Soirki.

– W Órn jest sierociniec, prawda? – odezwała się Płomyczek. – Pewnie wygodnie byłoby mnie tam przetrzymać, co? Zanim zabierzesz ojczulkowi, co ci się należy?

– Czekajcie, bo próbuję to sobie poukładać. – Órnyczyk nie dawał za wygraną. – Skoro wzięłaś Eldarę w zastaw... to chyba tobie powinno na niej zależeć? A nie na odwrót?

– Zamarzyła ci się przygoda – rzuciła z przekąsem Talla. – Powinnaś być wdzięczna, że zamiast ciebie nie wzięłam oberży.

– A zabierz ją sobie! – Dziewczynka machnęła ręką i splunęła Soirce pod nogi.

Wszystko, co najgorsze, westchnęła kobieta.

– W końcu będziesz mogła chlać na umór! – wykrzyknęła jeszcze Płomyczek.

– Ej, ej, bez uniesień, proszę. – Órnyczyk ponownie rozłożył ręce, by kobieta i dziewczynka nie skoczyły sobie do gardeł. Nie przeszkadzało im to jednak w pojedynkowaniu się na spojrzenia. – Słuchajcie, może do najbystrzejszych nie należę, ale naprawdę nie rozumiem, w czym tkwi problem. To chyba kwestia płci.

– Skończyłeś już z tymi swoimi mądrościami? – warknęła Talla.

– Niech będzie. – Dziewczynka zadarła podbródek. – Skoro Gallah i Wicher idą do Froska... mogą mnie odprowadzić. Oszczędzą ci zachodu. I nerwów.

– O nie, Eldaro, tak się nie bawimy – zaprotestował Órnyczyk. – Jesteście towarzyszkami podróży, więc musicie się dogadać. O co chodzi, Tallo?

Spojrzał jej w oczy. Zdziwiła się, że miał czelność to zrobić. Na ułamek sekundy czas się dla niej zatrzymał, bo oto znów doznała wrażenia, że gdzieś już tego człowieka widziała. *Órnyjski sierociniec*, przecież wcześniej sobie odpowiedziała. Nie mogła jednak przywołać w pamięci żadnej konkretnej sytuacji, w której by się spotkali.

W bładoniebieskich tęczówkach było zbyt wiele spokoju. Talla prawie natychmiast odwróciła wzrok.

– Widzisz? Sama nie wie – rzuciła oschle Płomyczek. – Najchętniej pozabyłaby się każdego z nas.

Wszystko wydaje się dzisiaj inne, powtórzyła w głowie kobieta. *Nikt nie jest do końca sobą*.

Już zamierzała wypuścić słowotok na temat tego, co sądzi o pyśkatych dziewczkach i natrętnych iogairach, kiedy powstrzymał ją swąd spalenizny. Nie tylko ona to poczuła – spostrzegła, że rudowłosa i Órnyjczyk wpatrują się z zadziwieniem w palenisko, na którym niewiadomym sposobem wzniecił się ogień.

– Co do...?

– Wicher, to ty?

Pytanie rycerza wydało się Talli najbardziej sensowne, bo rzeczywiście tylko Rhandyjczyk mógł niepostrzeżenie rozpałić ognisko. Spoglądali na niego w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

Chłopiec nie odpowiedział, co zresztą nie powinno nikogo dziwić. Niewzruszony skupioną na sobie uwagą, podniósł się i otrząpał ubrania. W lnianych spodniach z rozległą dziurą w kolanie prezentował się niewiele lepiej niż iogair.

– Po co nam ogień? – spytał Órnyjczyk.

Wicher zdawał się go nie słyszeć. Znów usiadł i niemal dotknął dłońmi paleniska, jak gdyby chciał się ogrzać.

Zanim Talla zdążyła się zastanowić, w jaki jeszcze sposób dać upust wściekłości, Rhandyjczyk przemówił.

– Ognisko za dnia – oznajmił z powagą, wpatrzony w skrzące się płomienie – to jak kłótnia bez powodu.

Tyle wystarczyło, by zbić wszystkich z tropu. Płomyczek i Órnyjczyk patrzyli po sobie w osłupieniu, Talla również nie potrafiła ukryć zdumienia. Chciała kontynuować kłótnię, ale żar, który szalał w niej jeszcze przed momentem, naraz zgasnął. Rozproszył się niczym dym.

– Słyszaliście? Lepiej bym tego nie ujął – rzucił z pretensją iogair. – A teraz usiądźcie i się dogadajcie.

Talla i Płomyczek zmierzyły się wzrokiem. Oczy dziewczynki, choć błękitne, płonęły.



Wiedziała, że znów zrobili to razem. Liczyła, że Wicher stanie po jej stronie, że... Nie, przecież Talla i Gallah im nie uwierzą, nie powinna wspominać o minionej nocy. O śnie, który zdawał się niebezpiecznie bliski jawy. Sama ledwie przyjmowała to do wiadomości, jednak ból i swędzenie dłoni stanowiły wystarczający dowód na prawdziwość wizji.

Nie poznawała samej siebie, była przerażona własną butnością. To Talla ją sprowokowała, zdenerwowała do granic możliwości. Rzeczywiście, myśl o podróży z mistrzynią kart ją uwiodła, jednak nie spodziewała się, że po tak wielu uprzejmościach ze strony Soirki dojdzie do kłótni. Jakie były jej prawdziwe intencje? Gdzie szukała dla siebie korzyści? Eldara uświadomiła sobie, że powinna być ostrożniejsza w kwestiach zaufania.

Wicher milczał. Jedyne wypowiedziane przez niego zdanie w zupełności wystarczyło, by rozładować napięcie. Ale dziewczynka usłyszała coś jeszcze, co przeszło mu wyłącznie przez myśl, coś, co usta zatrzymały przed wypowiedzeniem. Dotarło to do niej wraz z dymem wzniesionego ogniska – zaledwie trzy słowa, które natychmiast się urzeczywistniły.

Ogień gasi nienawiść.

Nie zrozumiałyby, gdyby palenisko nie zapłonęło, gdyby Rhandyczyk nie powiedział tego, co powiedział. A może miał na myśli coś innego? Czy wiedział, że rudowłosa usłyszała to, co wybrzmiało tylko w jego głowie?

Zarówno Eldara, jak i Talla nosiły w sobie ogień, ale taki, który parzy i niweczy. Tym, który gasił, był zdecydowanie Gallah, bo Wicher, wpatrzony w tańczące płomienie, zdawał się na powrót niewzruszony całą sytuacją.

– Teraz już wiem, jak czuje się moja matka. – Órnyczyk uśmiechnął się do siebie. – Magna codziennie musi łagodzić spory między sierotami.

– Nikt ci nie każe nas ze sobą godzić – burknęła Talla, obejmując się ramionami.

Z jej twarzy biła duma, którą trudno było wymazać. Eldara najczęściej wybierała kompromisy we wszelkich konfliktach, jednak tym razem nie miała ochoty ustępować.

– Wśród nas, rycerzy – odezwał się Gallah – kłótnie zwykle rozstrzyga się pojedynkami. Nie wiem, jak robią to kobiety.

– Na pewno się nie zarzynają – rzuciła pogardliwie Talla.

– Po prostu mi wyjaśnij. – Eldara z całych sił zdobyła się na łagodność. – Naprawdę chodzi o moje sny? Czy wolisz podróżować sama?

– Co za sny? – wtrącił Gallah.

– Ja... kiedy śpię, czasem wstaję i chodzę, nieświadomie. – Czuła zawstydzenie za każdym razem, gdy o tym wspominała.

– Sennowłóctwo. – Órnyczyk nie wydawał się zdziwiony. – Spotkałem się z tym w sierocińcu, występuje to u jednego z chłopaków. Mówi się, że to dar.

Oczy Eldary zabłysnęły. *Nie jestem dziwna*, powtórzyła to kilka razy, by na pewno zapamiętać. *Jestem wyjątkowa*.

– Nie chcę mieć cię na sumieniu. – Talla zdobyła się w końcu na wyjaśnienia, choć niekoniecznie zgodne z prawdą. – O zastaw trzeba dbać.

Dziewczynka przyjrzała się uważnie Soirce, jednak po wyrazie twarzy kobiety nie umiała ocenić, czy ostatnie słowa były oznaką troski, czy raczej lekceważenia.

– Tym bezpieczniej będzie podróżować razem. – Gallah niezmienne próbował postawić na swoim. Eldarze bardzo to imponowało. – Może zabrzmi to trochę okrutnie, ale... tego chłopaka z sierocińca przed każdą nocą przywiązuje się do łóżka, by nie wychodził z domu. Zawsze to jakiś sposób.

Rudowłosa oczekiwała w napięciu na reakcję Talli. Kobieta mruknęła pod nosem, co mogło, choć nie musiało, być oznaką aprobaty.

– Skoro i tak mam odprowadzić Wichra do Froska... możecie podjąć decyzję po drodze – stwierdził Gallah.

– Chciałeś powiedzieć, że Talla podejmie decyzję – rzuciła z przekąsem Eldara. – Moja pozostaje niezmienna.

– Nie idę do Froska.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Rhandyjczyka. Choć wciąż wpatrywał się w ognisko, najwyraźniej przez cały czas uważnie słuchał rozmowy.

– Niech to slager. – Órnyjczyk złapał się za czoło. – Dobrali się jak kiep z dziwką!

Eldara nie była w stanie usłyszeć myśli chłopca, lecz mogła przypuszczać, co stoi za jego decyzją. Froskijczycy co roku widują orszak królewski podczas święta Aury, więc na pewno ktoś by go rozpoznał. A skoro Wicher nawet nie zdradził swojego imienia, bynajmniej nie szukał rozgłosu.

Czemu w takim razie obrał wcześniej ten kierunek?, zachodziła w głowę Eldara. Czyżby jeszcze chwilę temu chciał być odnaleziony? Co mu się nagle odmieniło?

– W takim razie dokąd zamierzasz iść? Bo zaczynam się gubić. – Gallah rozłożył ręce.

Wicher wzruszył ramionami. Zdawało się, że to jedyna odpowiedź, której można się po nim spodziewać. Najwyraźniej jednak uznał, że wypadałoby dodać coś więcej.

– Pójdę za tobą gdziekolwiek – zwrócił się do Órnyjczyka. – Jak najdalej stąd.

Gallah wyglądał na równie zaskoczonego, co poruszonego. Gdyby Talla tak bardzo nie zaszła Eldarze za skórę... dziewczynka byłaby gotowa na podobną deklarację.

– Cóż... – Rycerz chwycił się za podbródek, wciąż wyraźnie przejęty. – W takim razie zabiorę cię wszędzie, dokąd się

udam. – Posłał Wichrowi nieznaczny uśmiech, którego chłopiec nie odwzajemnił.

Eldara dostrzegła jednak zmianę na twarzy Rhandyjczyka. Wprawdzie nadal wyrażała powagę, lecz w ciemnych oczach dało się dostrzec błysk podekscytowania. Widocznie tak okazywał radość.

Dziewczynka spojrzała na Tallę, która zaskakująco długo milczała. Zdawała się głęboko nad czymś zastanawiać. Dopiero Gallah wyrwał ją z zamyślenia.

– Sądę – zaczął niepewnie, ale z każdym kolejnym słowem nabierał śmiałości – że los, bogowie czy ktokolwiek, w kogo tam wierzysz, spłótnł nasze losy nie bez powodu. Mamy ten sam cel, Tallo. Dlatego tak nalegam na wspólną podróż.

Soirka zmierzyła go pytająco. Widać było, że ukoiliła nerwy.

– Naszym obowiązkiem jest ocalić Cliste – wyjaśnił.

Chyba się nie spodziewała po nim takiej deklaracji, bo jej lewa brew natychmiast podskoczyła. Wpatrywała się w Gallaha beznamietnie, pusto. Musiał uderzyć w czuły punkt kobiety, bo w każdym innym przypadku natychmiast by się nasrożyła.

– Na pomoc króla w walce z Anah nie mamy co liczyć – kontynuował. – A ja, cóż... nie popisałem się ucieczką i zamierzam spłacić ten dług. Wobec Órn... i wobec Cliste. – Pociągnął nosem i otarł pospiesznie oczy.

Wzruszył się, westchnęła z niedowierzaniem Eldara. Mężczyźni nie zwykli się wzruszać.

– Na zachodnich fiordach – ciągnął – stacjonuje garnizon Lai-dhir, a na północy... na północy jest Arda. Pewnie to z mojej strony głupie i naiwne, ale wierzę, że ktoś przybędzie z odsieczą i pomoże nam wypędzić klan z miasta. Ktokolwiek.

Talla nie reagowała, jak gdyby zamieniła się w kamień. *Nie wierzę, że nic ją to nie obchodzi*, przekonywała dziewczynka samą siebie. *Wiem, że ma ludzką twarz.*

Dopiero teraz się zorientowała, że od dłuższej chwili obserwuje ją Wicher. Złapał spojrzenie Eldary i nie pozwolił mu umknąć. Patrzył chłodno, lecz bez strachu, z niepodobną do niego śmiałością.

Ani Talla, ani Gallah, zajęci losem Órn i niejakej Cliste, nie zauważyli, jak Rhandyjczyk zwinnym, okrężnym ruchem dłoni gasi ognisko. Dziewczynka dałaby głowę, że przez twarz chłopca przemknął najprawdziwszy uśmiech.

MYRK

ie mógł liczyć na to, że uda mu się pozostać nierozpoznanym – zbyt wielu soirskich rzezimieszków wpadło w jego sidła. Inni wciąż przebywali na wolności, ale tylko dlatego, że ani tutejszy książę Pagadaal, ani nikt inny nie wyznaczył za nich nagrody. Nie byli warci nawet pół eyra.

Przemykał ulicami stolicy Soiru z głową schowaną pod kapturem opończy i jak dotąd nie zwrócił niczyjej uwagi. Tutaj każdy gdzieś się spieszył, gnał od straganu do straganu, by we wszechobecnym tłumie wytargować najlepszą cenę i jakość towaru. Wszędzie indziej tego, kto skrywał tożsamość, z góry uznawano za szemranego. W Myrku podejrzliwość wzbudzali ci, którzy na pierwszy rzut oka dawali się rozpoznać.

Musiał być ostrożny, szczególnie w tym miejscu. Najprawdopodobniej Anah w pierwszej kolejności udali się właśnie do stolicy, a więc wiadomość o zaginionej córce króla dawno zdążyła się roznieść, może nawet spowszednieć. *Ci nawiedzeni durnie pewnie pytali wprost, stwierdził z drwiną. Trudno, żeby matka bękarticy była na tyle naiwna, by w takich okolicznościach dać się złapać. Trzeba na nią sposobu.*

Zatrzymał się obok przypadkowego straganu, udając zainteresowanie bogactwem rodzajów i zapachów przypraw.

– Spokojnie ostatnio w mieście – zagaił.

– *Jana taraah.* – Handlarka wzruszyła ramionami.

Przybysz wyrzwał spod kaptura, by popatrzeć na całkiem niebrzydką twarz młodej Rhandyjki. Włosy i ramiona miała przykryte

cienką bawełnianą chustą o kwiecistych wzorach w różnych odcieniach zieleni. Posłał straganiarce zalotny uśmiezek, ale ta najwyraźniej go nie zauważyła albo celowo zignorowała. Zbiło to mężczyznę z tropu – przywykł do tego, że kobiety z południa są bardziej rozmowne i towarzyskie niż Jordyjki czy nawet Soirki.

– *Sune is dhavee mei tu Anah* – przeszedł płynnie na rhandyjski.

– *Kame Anah* – zakłęła i splunęła, co dostatecznie jasno pokazywało stosunek miejscowych do klanu. – *Garay dekaa mer, garay...*

– *Shaade, shaade* – próbował ją uspokoić, bo lamentowała coraz głośniej i nerwowo wymachiwała rękami. Niewiele obchodziło go to, co Anah zrobili z jej straganikiem. – *Kao mer... Kheya ve kva ve dhen?*

– *Nahin nada.* – Rhandyjka rozłożyła ręce w geście niewiedzy, po czym burknęła pod nosem jeszcze kilka przekleństw.

Nie było sensu dążyć tematu, by nie wzbudzać podejrzeń. Dziewczyna nie miała pojęcia, czy Anah znaleźli to, czego szukali, więc najwyraźniej sprawa obchodziła ją tyle co nic.

Języka najlepiej zasięgnąć w karczmach, jednak to wiązało się z ryzykiem zdemaskowania. Łowca nagród musiał więc uzbroić się w obojętność, jak przystało na profesjonalistę. Co nie oznaczało, że furia nie będzie rozsądzać go od środka.

Zajrzał do pierwszej lepszej oberży – dosyć obskurnej, ale w takich najwięcej się plotkowało o tym i owym. Emblematem przybytku był niezbyt zręcznie wystrugany w drewnie żmij, przypominający raczej łasicę ze spiczastymi zębiskami i wyjątkowo długim ogonem.

Jeszcze zanim łowca trącił uchylone drzwi, dopadł go odór potu, rumu oraz piwa – a raczej jego imitacji, bo z jakościowego trunku Soirczycy bynajmniej nie słynęli. Karczma już z zewnątrz wyglądała na niewielką i rzeczywiście mieściła zaledwie cztery stoły, w tym momencie gęsto oblegane.

Mężczyzna usiadł przy kontuarze. Pozostawił kaptur na głowie, wciąż licząc na zachowanie anonimowości. Trudno jednak,

by smukły, szpakowaty karczmarz o jasnej karnacji – najpewniej Jordyjczyk albo mieszaniec – nie zauważył, że przybysz mało dyskretnie chowa twarz.

– Co podać?

Rum – odparł łowca obniżonym głosem. – Najlepszy, jaki macie.

Przyjrzał się gościom siedzącym przy stołach i z ulgą stwierdził, że nie przyciągnął uwagi żadnego z nich. Dopiero teraz zauważył, że kilku barczystych Soirczyków oddaje się grze w karty. Zacisnął pięści. Wściekał się na myśl, że minione zdarzenia wciąż wyprowadzają go z równowagi.

Karczmarz postawił przed nim wypełnione prawie do połowy szklane naczynie w kształcie pulchnej, wąsatej twarzy. Łowca przyjrzał jej się z dezaprobatą, ale i ciekawością.

– Zaraz, czy to... niech mnie żmij pokąsa! – Szpakowaty klasnął. – Frae Serpent we własnej osobie!

Noż kurwa..., Roy stłumił kolejne przekleństwa. *Tyle z cholernej dyskrekcji.*

Zza pleców zaczęły dochodzić go rechoty i pogwizdywania.

Zaraz się zacznie.

– Co was tu sprowadza? – Oberżysta odsłonił pożąłkłe zęby. – Znów na tropie podpalaczy, dziwkarzy i koniokradów?

Jasne, wrzeszcz jeszcze głośniej, miał ochotę syknąć. Nie ręczył za siebie – jeśli dureń powie o jedno słowo za dużo, wyświadczy mu przysługę i jeszcze bardziej uszczupli to marne użębienie.

– Nie inaczej – odparł z wymuszoną obojętnością, po czym jednym haustem opróżnił wąsate naczynie. – Polejcie jeszcze.

– Nie bądźcie tacy tajemniczy, frae Serpent. – Karczmarz nieznosnie się spoufalał. – Wiem, żeście popytać przyszli, ja już was, tropicieli, znam!

Roy tylko kiwnął głową, by podziękować za dolewkę.

– Czego wam trzeba? Mówcie śmiało!

– Wiecie, czego mi nie trzeba? – Spojrzał na oberżystę spode łba. – Rozgłosu, jasne? Więc bądźcie tak łaskawi zawrzeć gębę.

– Gdzieżbym śmiał rozpowiadać, no co wy!

Roy westchnął i podparł czoło na dłoni. Zdążył zapomnieć, dlaczego tak bardzo ciągnęło go na zachód, do Jordy. Natychmiast sobie przypomniał.

– Ej ty, Serpent! – zawołał w jego stronę któryś z karciarzy. – Może zagramy partyjkę?

– Byle nie twoją kością – rzucił inny, na co wszyscy zarechotali.

– Damy ci fory, nie bój nic!

Łowca nawet się nie odwrócił, tylko zacisnął palce wokół naczynia. *Nie myśl o niej*, powtarzał sobie raz za razem. *Nie myśl*.

Wychylił drugą kolejkę i otarł usta rękawem bordowej tuniki. Tym razem nie musiał prosić o dolewkę.

– No to jak, w czym można wam pomóc? – zagaił ponownie karczmarz, wciąż beztrząsliwie wyszczerzony. – Dobrzeście trafili, do mnie ich wielu zachodzi, łachudrów zawszonych. Kogo szukacie?

– To nie takie proste – mruknął Roy, obracając w tę i w tę wąsatą głowę. – Słyszałem, że mieliście tu na głowie Anah...

– Powsinogi zaszranie, tfu! Czyli ich tropicie?

– Niezupełnie... Byli tu u was?

– Ano. – Oberżysta przytaknął nieznacznie. – Kogo jak kogo, ale ich to przegapić się nie da.

– O czym mówili?

– Pytali o jakowąś Tove, wiedźmę. A panoszyli się jak, za przeproszeniem, dziwki przy pańskim stole! – Podrapał się po przeczczonych włosach na czubku głowy, wyraźnie próbując coś sobie przypomnieć. – Po dobroci wam powiem, że tę kobitę raz czy dwa widział, jeno z dawien dawna. To i pomóc, nawet jakoby chciał, tym gadzinom że nie mógł.

– Powiedzieliście im cokolwiek? – Roy pochylił się, by rozmawiać półszepem.

– Ech, nie trzeba było pary z gęby puszczać. – Gospodarz otarł nerwowo czoło. – Oni... panie, z nożem do mnie... tak do szyi przystawili. – Zaprezentował zaciśniętą dłonią. – A ja żem prosty człek, to i więcej nie wyciągli... Jeno gdzie onegdaj bywała, i tyle.

Łowca zamyślił się na moment, po czym przypomniał sobie o rumie i wypił go tak jak poprzednio – za jednym razem.

– Im to Śmierć z oczu wygląda – ciągnął strwożony karczmarz. – Zarzną jak świnię i ani się obejrzą, tacy oni. Frae Serpent, jak się z nimi rozprawicie...

– Macie może wolną izbę? Coś mi się zdaje, że zostanę na dłużej.

– A znajdzie się, znajdzie! Jeno łoża zgrzytają, a na suficie...

– Jakoś przeżyję. Jeszcze kolejkę, ostatnią.

Frae Serpent rzucił na szynkwias garść eyrów. Oberżysta spojrział z ukosa w prawo i pośpiesznie zebrał drobniaki, bo obok Roya usiadło dwóch szerokich Soirczyków – jeden nalany i wąsaty, z kudłatymi bokobrodami, a drugi roślejszy, z rozległym tatuażem na łysej głowie i kilkudniowym zarostem. Łowca nawet nie musiał się obracać, by natychmiast poczuć unoszący się w powietrzu odór potu wymieszany z pogardą.

– My wciąż czekamy, Serpent. Same chłopcy, ani jednej dziewczki.

– Tylko partyjka, bez dupczenia! – odezwał się łysy piskliwym głosem. – Chyba że nie uznajesz jednego bez drugiego?

– Głuchy jesteś?! – Wąsacz nie wytrzymał i trącił Roya w ramię.

Frae Serpent odchylił się tak, że o mało nie spadł ze stołka. Kiedy bydlaki zaczęły się śmiać, łowca oparł nogę o bok szynkwasu i odepchnął się w ich stronę, wysuwając zza pasa sztylet. Ostrze zatrzymało się tuż przy podwójnym podbródku wąsacza, podejrzanie przypominającego wizerunek na szklanym naczyniu.

– Mówiłeś coś, kmiocie?

Bydlak rozdziawił gębę, łysemu również zrzędma mina. Karczmarz tymczasem zdążył wycofać się na zaplecze.

– Masz coś na sumieniu, tłusta bryjo? – Łowca musiał się wyżyć po tak długim zachowywaniu cierpliwości. – Żeby jeszcze ktoś

płacił za takich jak ty. – Splunął mu na buty. – No i czego się gapisz? Wydupczyć cię jak tanią dziwkę?

Bydlak jęknął i zerknął na kompana w poszukiwaniu ratunku. Roy skinął głową w stronę łysego, na co ten zerwał się i odciągnął wąsacza z powrotem do stołu.

Frae Serpent uważnie obserwował, jak obaj wraz z towarzyszami dopijają piwopodobne szczyzny, zbierają pospiesznie karty i kierują się do wyjścia. Dopiero gdy zniknęli mu z oczu, schował sztylet do pochwy.

Karczmarz zjawił się po dłuższej chwili i drżącą ręką położył przed łowcą klucz.

– Druga od lewej – bąknął, wskazując schody prowadzące na piętro.

Roy kiwnął głową na znak podziękowania. Dopił duszkiem rum, odetchnął ciężko, zabrał klucz i udał się do wskazanej izby. *Tym razem poszło gładko*, przyznał bez poczucia ulgi. Doskonale wiedział, że to dopiero przedsmak Myrku.



Długo nie mógł pograć się we śnie. Leżał na plecach z rękami pod poduszką, wdychał stęchłe powietrze i obserwował pajaka wijącego się w rogu sufitu. Światło księżyca wdzierało się do izby wąskim strumieniem spomiędzy zawilgotniałych skórzanych zasłon, które luźno opadały na niewielkie drewniane okno.

Po raz kolejny Roy wspominał minione wydarzenia. Nie myślał jednak o upokorzeniu, które jeszcze długo miało się za nim ciągnąć. Przywołał raczej w pamięci dreszcz emocji towarzyszący rozgrywce i... tak, tamta noc również często do niego wracała. Choć oboje upili się jak świnię, wspomnienie było wyraźne, zbyt namacalne. Zamierzał ją osłabić, i poniekąd mu się udało. Łapał się na tym, że chciałby powtórzyć to, co między nimi zaszło. Ponownie poczuć jej oddech na policzku, być w niej dłużej, bardziej, bez zahamowań.

Miał w życiu wiele kobiet, w tym całe mnóstwo dziwek cieszących się renomą. Ale żadna z nich nie rozpałała go tak bardzo jak Karciana Królowa.

W końcu zasnął, śnił o czymś, czego po przebudzeniu nie pamiętał. Zerwał się wczesnym rankiem, gdyż zamierzał dotrzeć do przedmieść, zanim Myrk zapełni się tłumami. Wieść o przybyciu frae Serpenta do stolicy pewnie już się rozniosła, musiał więc działać jeszcze dyskretniej.

Co ja gadam, przypomniał sobie. Słynny łowca nagród zawsze i wszędzie zostanie rozpoznany.

Mimo głębokiego rozczarowania karczmarza Roy zrezygnował ze śniadania, nigdy bowiem nie jadał tak wcześnie. Czuł jeszcze w żołądku ryż z jagnięciną i fasolą zanurzony w słodkim sosie – danie, którym gospodarz uraczył go minionego wieczoru, po powrocie frae Serpenta z rekonesansu. Od miejscowych dowiedział się niewiele ponad to, co usłyszał od rhandyjskiej handlarki i jordyjskiego oberżysty – jak wiele by dali za to, żeby w końcu ktoś zrobił porządek z Anah. Chętnie udzielali informacji na wieść o tym, że Roy rzekomo dostał zlecenie na grupę zamaskowanych wojowników oskarżanych o rozboje, przemoc i szerzenie postrachu. W ten sposób łowca mógł dyskretnie pytać o Tove, na razie jednak nie przyniosło mu to szczególnie zadowalających rezultatów.

Według relacji Myrkijczyków kochanka króla z dnia na dzień rozplynęła się w powietrzu.

Roy zdobył informacje, gdzie dokładnie oberżysta ją widywał. Odkrył również, że gdy mężczyzna mówił o „wiedźmie”, chodziło tak naprawdę o zielarkę – tyle że podejrzaną o magiczne zdolności, nie tylko uzdrowicielskie. Frae Serpent nie wierzył w podobne farmazony, ale nie wykluczał, że ten trop wkrótce mu się przyda.

Tove podobno mieszkała na północno-wschodnich przedmieściach, gdzieś wśród tych wszystkich obdartusów i dziwaków, dla których nie było miejsca przy głównych traktach. Oberżysta nie omieszkiał przypomnieć Royowi, że to tam niejaki Trudy Sirkus

wypatrzył szansę na spory zysk i założył wędrowny teatr zwany cyrkiem. Okazało się, że wielu ludzi świetnie się bawi na występach bezrękich albo beznogich kalek, bezpłciowych dvergów, wynaturzonych półskelfii czy innych, równie odrażających, zdaniem karczmarza, osobliwości.

Zatrwożony mężczyzna ostrzegł Roya jeszcze przed czymś – a raczej kimś. O nim również frae Serpent wielokrotnie słyszał i dziwił się, że jeszcze nie dostał zlecenia na owego osobnika. Musiał być pożyteczny, skoro nikt nie chciał go zlikwidować. Zwłaszcza że Maelchos zdawał się nieszczerze kryć ze swoimi upodobaniami do badań nad ludźmi i zwierzętami. Dysponował potężną wiedzą, to akurat było godne podziwu, jednak nie zawsze wykorzystywał ją we właściwym celu. Gdyby miał zadatki na dobroczyńcę, mógłby przywracać miejscowe dziwadła do normalności – podobno bez większego trudu przyszywał oderwane kończyny, może nawet równie dobrze radził sobie z przyrodzeniami. Tymczasem cyrk Trudy’ego Sirkusa słynął z ludzko-zwierzęcych mieszańców będących w sporej mierze „dziełami” Maelchosa.

Sam o sobie mówił, że jest cyrulikiem. Co odważniejsi albo niezrażeni złą sławą mistrza Soirczycy korzystali z jego usług. Jedni twierdzili, że zdołał wyleczyć ich po zażyciu śmiertelnej trucizny, inni – że przywracał łysym włosy, a jeszcze ktoś pokazywał zdrową nogę wcześniej pochłoniętą przez martwicę. Podatki pewnie płacił, może nawet lokalna arystokracja miała wobec niego długi wdzięczności. To by tłumaczyło, czemu wciąż pozostawał nietykalny.

Frae Serpent zaczął rozważać wizytę w szemranych progach Maelchosa. Szczerze wątpił, by Anah się nim zainteresowali. A nawet jeśli, cyrulik zapewne pokazał im mały palec, co wśród Soirczyków było mniej więcej równoznaczne z powiedzeniem komuś, żeby spierdalał.

Po raz nie wiedzieć który Roy grzecznie odmówił karczmarzowi propozycji śniadania i ruszył w kierunku najbardziej zniesławionej dzielnicy Myrku. Prosto w paszczę węża.

Na głównym trakcie zgodnie z oczekiwaniami nie spotkał prawie nikogo. Pierwsi handlarze dopiero zabierali się za rozkładanie towarów. Łowca nie dał się jednak zwieść – nauczony doświadczeniem z poprzedniego dnia, nie tylko nasunął na głowę kaptur, ale również zasłonił usta i nos bordową chustą obwiązaną wokół szyi.

Zaczął żałować, że zostawił konia we Frosku. Tyle kosztowało go tanie zagranie, które po prawdzie nie dało mu satysfakcji, bo nie zobaczył reakcji karciarki. *Pewnie się wściekła*, domyślił się i uśmiechnął. Chciałby ją taką widzieć.

Dzień był wyjątkowo ciepły, zbyt ciepły jak na późne lato. Wprawdzie w Soirze nie zdarzały się surowe zimy, jednak o tej porze roku zwykle robiło się chłodno. Tymczasem Roy niezmiennie nosił lnianą opończę i chustę, zupełnie jak w upalne dni.

Myrk stopniowo zaczął się zmieniać z dostatniego, barwnego miasta w śmierdzące brudem i odchodami skupisko prowizorycznych namiotów oraz chałup skleconych z przypadkowych materiałów. Dzieci biegały tu boso – na buty mogłyby zapracować w centrum, gdyby już w nastoletnim wieku nie dorobiły się wielu gąb do wykarmienia, które czekała ta sama przyszłość, i tak w kółko. Frae Serpent nigdy nie zamierzał zostać ojcem. A szczególnie jako przedstawiciel sławetnego rodu bankrutów.

Musiał zasięgnąć języka, w końcu po to tu przyszedł. Ale długo się wzbierał, obawiając się bezpośredniego kontaktu z kimś, kto jeśli nie miał wszy, z pewnością zarażał gorączką, wysypką albo cholera wie, czym jeszcze.

Zatrzymał się przy jednym z chybliwych drewnianych domków. Śniady, drobnej postury starzec o siwej, niemal białej brodzie sięgającej klatki piersiowej rozwieszał na sznurze mokre ubrania. Z pewnością wyprał je w pobliskiej rzece, która – jak kojarzył Roy – była raczej mulistym strumykiem niż wodą zdatną do użytku.

– Przepraszam. – Frae Serpent zsunął z twarzy chustę. – Można na słówko?

Mężczyzna powoli się odwrócił. Przyjrzał się przybyszowi ze zmrużonymi oczami, jak gdyby słabo widział albo próbował dostrzec w Royu kogoś znajomego.

– *Name kaar*. – Skłonił się, przytrzymując owiniętą wokół głowy chustę o żółtopomarańczowej barwie owocu kakui. – Czy ja was skądś kojarzę? – spytał, tym razem po jordyjsku.

– Nie sądzę – mruknął Roy, dusząc w sobie przekleństwo. – Powiedźcie mi... byli tu ostatnio Anah? Ci w maskach. – Przejechał ręką po połowie twarzy, gdy dostrzegł, że starzec nie bardzo rozumie albo po prostu słabo słyszy.

– Aaa... – olśniło go. – *Kame ghat* – zaklął i zmarszczył gęste, posiwiałe brwi.

– Tak się składa, że ścigam tych drani. Zrobili wam jaką krzywdę?

Mężczyzna chwilę się zastanowił, jakby odpowiedź wymagała głębszej refleksji, po czym pokręcił głową.

– Całe szczęście – rzucił frae Serpent, choć po prawdzie gównu go to obchodziło. – Powiedźcie mi jeszcze taką rzecz. Doszły mnie słuchy – mówił powoli, by starzec nadążył – że szukali niejakiej Tove...

Na dźwięk imienia mężczyzna rozwarł szeroko oczy.

– *Gaara Tove* – mruknął i pociągnął nosem. – Tyle nieszczęścia, tyle...

– Nie widzieliście jej ostatnio?

– *Nahin*. – Starzec spochmurniał jeszcze bardziej. – Jej chata długo już pusta stoi.

– Daleko stąd mieszkała?

Mężczyzna pokierował Roya na wprost i wyjaśnił, w które odnogi trzeba skręcić.

– Przy rzece, zaraz przy rzece – dodał na koniec i westchnął smutno. – Taka niedola, taka straszna...

– Czemu wciąż to powtarzacie? Co takiego jej się przytrafiło?

– *Nahin kaare* – odparł starzec, po czym wrócił do rozwieszania mokrych ubrań, lamentując pod nosem.

Łowcy musiała wystarczyć odpowiedź, że nic dobrego. I tak był wdzięczny za uzyskanie cennych informacji.

Nie minęło wiele czasu, nim dotarł we wskazane miejsce. W odnalezieniu drogi pomogła mu narastająca woń mętnej wody. Na szczęście nikt nie zbliżył się do niego na odległość mniejszą niż stenkast. Ani grupka dzieci zajęta układaniem kopczyków z kamieni, ani kobiety zamiatające przed domostwami czy gotujące posiłki na paleniskach nie zwróciły uwagi na łowcę. Z kolei wszechobecne w Soirze koty, jak to koty, chadzały własnymi ścieżkami.

Natychmiast rozpoznał poszukiwaną chałupę, gdyż zdecydowanie wyróżniała się na tle innych. Choć niewielka, została starannie wybudowana z równo przyciętych desek. Trzcinowe poszycie dachu również wykonano całkiem solidnie.

Łowca zastał lekko uchylone drzwi, więc nie zawahał się zajrzeć do środka. Zawiasy zaskrzypiały przeciągle, po czym rozległ się hałas tłuczonego szkła i donośne odgłosy kroków. Roy się domyślił, że pewnie ktoś z miejscowych nie pierwszy raz tu szpera.

Wszedł powoli, trzymając prawą dłoń przy rękojeści sztyletu. Skromne wnętrze, pewnie niegdyś schludne, teraz było kompletnie zdewastowane. Po podłodze walały się potłuczone naczynia, poniszczone książki i wyrwane z nich kartki, części kobiecej garderoby, a także zgniłe resztki jedzenia. Jakiś gęsty płyn zmierzał ciurkiem w kierunku stóp frae Serpenta. Łowca ominął go i choć próbował stąpać jak najciszej, każdy ruch zdradzały skrzypiące w podłożu deski.

W sąsiedniej izbie znów coś się poruszyło. Dłoń niemal samodziennie zacisnęła się na rękojeści i wysunęła nieco ostrze. Roya doszedł zapach ziół, których lokatorka najwyraźniej nie zabrała ze sobą w ferworze ucieczki. Wyglądało na to, że ktoś postanowił je sobie przywłaszczyć.

Skradanie się nie miało sensu, jednak pośpiech, tak czy inaczej, nie był wskazany. Frae Serpent szedł wzdłuż ściany, prawie nie mrugał, gotowy na konfrontację. Cisza stawała się coraz bardziej niepokojąca, co mogło zwiastować nagły atak.

Zatrzymał się tuż przy framudze. Zrobił głęboki wdech i wyskoczył przed siebie, by skierować ostrze w stronę potencjalnego wroga. Jego oczom ukazało się mniejsze pomieszczenie. Zdążył przelotnie zobaczyć pozostawioną w nieładzie pościel na łożu oraz przetrzebione półki pełne zwojów, ksiąg, szklanych naczyń i pewnie czegoś jeszcze. Nie zdołał jednak zapamiętać szczegółów, bo zaczął się wpatrywać w postać opartą o blat stołu. Zamarł na moment, po czym opuścił sztylet, nie mogąc oderwać wzroku od jaskrawozielonych, pełnych wigoru oczu.

Właściwie nie wiedział, kogo się spodziewał, ale z pewnością nie kogoś takiego. Ledwie zarysowane pod luźną tuniką piersi i szerokie biodra świadczyły o tym, że miał do czynienia z płcią niewieścią, lecz po twarzy nie dało się tego łatwo osądzić. Włosy nieznamojemy były ostrzyżone całkiem na krótko, być może odrastały po zgoleniu głowy na tyso. Od czoła przez nos po same usta przebiegał wąski tatuaż, cienkimi zawijasami okalał brwi oraz górną wargę. Po drobnych zmarszczkach dało się oszacować, że kobieta przekroczyła czterdziesty rok życia. Jednak tym, co najbardziej niepokoiło i rzucało się w oczy, były pojedyncze szwy na policzkach, biegnące od kącików ust niemal po uszy.

Roy frae Serpent, który twierdził, że niczego się nie boi, właśnie cholernie się wystraszył.

- Co tu robicie? – rzucił. Nic innego nie przyszło mu do głowy.
- Mogłabym spytać o to samo – odparła kobieta niskim, dźwięcznym głosem i skrzyżowała ręce.
- Nieładnie to tak kraść cudze mienie. – Uśmiechnął się łajdaczo, usiłując grać pewnego siebie. – Bo nie sądzę, żeby właścicielka domu was przysłała.
- A wy kto, koroner? – Łypnęła na niego kąpiąco.
- Blisko. Proszę wybaczyć, ale przeszkadzacie mi w pracy.
- A więc śledczy. Za czym tu węszyć?
- Nie twój... nie wasz interes.
- A co, jeśli jednak mój?

Odepchnęła się od stołu. Roy natychmiast zrobił krok w tył i skierował ku niej sztylet. Kobieta zaśmiała się ironicznie.

– Nie bój nic, piesku, nie gryzę. Przynajmniej nie ja.

Usłyszał za sobą skrzypienie podłogi. Nie zdążył się odwrócić, gdy ktoś zerwał mu z głowy kaptur i przydusił go jego własną chustą. Próbował się wyrwać, jednak napastnik był zbyt wysoki i silny.

Zobaczył jeszcze triumfalny uśmiech nieznajomej, nim stracił przytomność.

SAIBHIR



zekała na niego w ogrodzie.

Usiadła na ławce w cieniu drzew, na wprost Lęku Leikni. Zaczęła już powoli się oswajać z płaskorzeźbą. Jeszcze niedawno wyobrażała sobie, że ta mogłaby przedstawiać ją samą wraz z Gaefringiem, ale nie po ostatnich nocach. Śmierć zmniejszyła dystans między nimi. Pozwoliła im poczuć się jak dawniej, zanim...

A jeśli tym razem się otworzę? Miała jeszcze czas, wiele kobiet w tym wieku rodziło. Dotknęła brzucha, nieznosnie płaskiego, pustego. Jak dotąd było w nim miejsce tylko dla jednego dziecka, które przed laty zniknęło z jej życia, zanim zdążyła je w pełni pokochać. *Wciąż tam jest*, powtarzała sobie. Xander nigdy nie opuścił jej łona.

– Wasza Wysokość.

Zdziwił ją ten konwenans. Zeszłym razem wojownik bezpardonowo zwracał się do niej po imieniu. Choć połowę twarzy mężczyzny zasłaniała białopurpurowa maska, nie uszło uwadze królowej, że coś się w nim zmieniło. Jedyne widoczne oko było podkrążone, usta układały się w wymuszony uśmiech, a skóra wydawała się nienaturalnie blada.

– Witaj – powiedziała uprzejmie, lecz bez entuzjazmu.

Milczał przez dłuższą chwilę, krocząc tam i z powrotem z dłońmi złączonymi na plecach. Po uważniejszym przyjrzeniu się Dæna

dostrzegła, że jasnobrązowe włosy wojownika pojaśniały, jak gdyby zaczęły siwieć.

– Jakież wieści? – spytał w końcu. Nawet nie spojrzał na królową, pogrążony w rozmyślaniach.

– Właściwie... przybyło kilka dziewcząt z órnyjskiego sierocińca. Król zawiesił na nich oko, ale żadna nie przypominała osoby z portretu.

Hantha nie odpowiedział. Dæna nie była pewna, czy w ogóle usłyszał jej słowa. *Może powinnam zapytać, co go trapi?*, zastanowiła się. Nakazywała jej to wrodzona uprzejmość, jednak lęk przed konsekwencjami ją przed tym powstrzymywał.

– Wprawdzie powiedział mi, że to żadna z nich, ale...

– Coś jeszcze?

Opryskliwość mężczyzny zabiła królową z tropu. *Tyle obchodzi cię to, o co sam tak żarliwie zabiegales?*

– Nic – odparła sucho.

– Obserwuj dalej – rzucił, wciąż ze spuszczoną głową.

Odwrócił się z zamiarem zniknięcia w gąszczu krzewów i opuszczenia pałacowego ogrodu nieznanym Dænie sposobem. Cieszyła się, że tym razem tak szybko poszło. Nie zrozumiała więc samej siebie, gdy zadała pytanie:

– Coś cię dręczy?

Dopiero teraz na nią spojrzał. Wzdrygnęła się, jednak nie dlatego, że wzrok wojownika wzbudzał lęk. Królowej zdawało się, że patrzy na samą Śmierć.

– Lepiej spytaj, co mnie nie dręczy – odparł chłodno. – Znalazłoby się tego mniej.

Dæna wzruszyła ramionami, żałując, że zapytała. Po prawdzie jego nastrój niewiele ją obchodził.

– Znasz to uczucie – odezwał się ponownie – kiedy wszystko, co ma dla ciebie znaczenie, zaczyna wymykać się z rąk?

Oczywiście, odpowiedziała natychmiast w myślach, ale wypowiedziała to chwilę później, po otrząśnięciu się z zadziwienia.

– Pewnie mi nie uwierzysz – ciągnął – ale naprawdę zależy mi na Jordzie, na Órn... właściwie na całym Łądzie. Chciałbym, żeby stał się lepszym miejscem do życia.

Nie mogła się z nim zgodzić. *Lepszy Jord to Jord bez króla? Bez królowej?*

– Ale mało kto to rozumie. – Spuścił wzrok. – A Anah... moi ludzie tego nie ułatwiają. Rozumieją jeszcze mniej.

Zebrało mu się na zwierzenia, prychnęła. Czyżby wziął sobie do serca rozpasanie klanu? Jednak czyż nie tym właśnie byli wojownicy? Rozbestwioną bandą morderców?

– Sam już nie wiem, Dæno. – Schował twarz w dłoniach.

Ja tym bardziej, miała ochotę powiedzieć. Ale w miejscu pogardy zaczynała odczuwać litość.

– Moim przeznaczeniem jest poprowadzić klan do zwycięstwa, sprawić, by w świecie zapanował porządek. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Gdziekolwiek się zjawiam, nastaje zamęt.

Hantha zadziwiał ją coraz bardziej. *Jakie przeznaczenie, jaki porządek? Kto ci wmówił te brednie?*

– Ale może tak właśnie musi być – kierował te słowa jak gdyby do siebie. – Wielki chaos, ostateczne starcie Białego Księcia i Czarnej Księżniczki... A potem pokój, wieczny ład.

Zaczynała się poważnie niepokoić. *Ten człowiek jest obłąkany. Oszalał do reszty...*

– Mam tak wiele wątpliwości... Przywódcy nie wolno wątpić.

Odgarnął nieco rozwichrzone włosy i pociągnął nosem. Dæna nie potrafiła mu współczuć.

– Nigdy nie wątp, Wasza Wysokość – rzucił zamiast pożegnania, po czym zniknął królowej z oczu.

Siedziała jakiś czas w bezruchu, rozmyślając o tym, co nie wie-dzieć czemu zdradził jej Hantha. Pozostawił ją pełną niepewności.



Z wrażenia zapomniała poinformować wojownika, by nie zjawiał się w najbliższym czasie. Czekало ją bowiem kilkudniowe spotkanie, które miało wyssać z niej po stokroć więcej sił życiowych.

Im dłużej nie widziała się z Laevie, tym więcej ta miała jej do powiedzenia.

Dæna czekała na pałacowym dziedzińcu, najpierw nasłuchując tętentu kopyt, a potem obserwując nadciągający powóz. Zdziwiła się, gdy zobaczyła, że młodsza siostra rzeczywiście dotrzymała obietnicy. Przybyła tylko ona i słodka Eylan, nie licząc służek oraz kilku gwardzistów.

– Ciocia! – Jako pierwsza wysiadła, a raczej wyskoczyła z impetem niespełna dziesięcioletnia istotka o długich orzechowych włosach, okrągłym nosku i pyzatyh policzkach.

– Eylan. – Królowa uściskała siostrzenicę, po czym odsunęła ją od siebie i bacznie obejrzała. – Uśmiechnij się.

Dziewczynka z entuzjazmem się wyszczerzyła. Niektórzy źle postrzegali przerwę między przednimi zębami księżniczki, jednak Dæna uważała, że jest przeurocza.

– Najdroższa! – Przed królową stanęła dostojna, niewysoka kobieta, do której Eylan coraz bardziej się upodabniała. Zwłaszcza że z jasnobrązowych oczu księżnej wciąż zdawała się spozierać nastoletnia pannica.

– Dobrze cię widzieć. – Siostry objęły się delikatnie i ucałowały w policzki. Królowa poczuła słodki, wręcz mdlący zapach owocowych perfum.

– Gdzie twój małżonek? – Laevie się rozejrzała, poprawiając misternie upięty kok.

– Udziela audiencji, przywita się później – wyjaśniła nieszczerze Dæna. Doskonale wiedziała, że Gaefring ograniczał się tylko do niezbędnych kontaktów z gadatliwą szwagierką. Unikał jej, kiedy tylko mógł, czemu królowa w ogóle się nie dziwiła.

– Ach, południe. – Księżna rozłożyła ręce i głęboko zaczerpnęła powietrza. – Tu się oddycha!

Poleciła służkom, by wniosły bagaże do pałacu, tymczasem Dæna zaprosiła gościnie na południową herbatę. Jako że pogoda dopisywała, postanowiły nacieszyć się nią w królewskim ogrodzie.

– Zawsze ci go zazdrościłam – rzuciła z zachwytem księżna, wachając po drodze róże rhandyjskie. – Tyle razy mówiłam Wilkowi, żeby mi taki założył. „Ale gdzie?”, on mnie pyta! „No jak to gdzie? Wokół Drzewa”, mówię, „gdzieby indziej?”. „Po co ci ogród, skoro masz Drzewo? Drzewu to może zaszkodzić, poza tym co ci tu urośnie, co najwyżej mchy i krzewinki”. I tak na okrągło!

Usiadły przy stoliku na zadaszonym tarasie, przy końcu jednej ze ścieżek, której strzegli dwaj kamienni visarowie. Laevie przez bardzo, ale to bardzo krótką chwilę milczała, gdy usadawiała się wygodnie na ławie. Założyła nogę na nogę i poprawiła długą do ziemi, wełnianą suknię o intensywnej barwie maliny moroszki. Dæna nigdy nie mogła pojąć, czemu młodsza siostra zwykła upodabniać się do kremowego ciasta z owocami leśnymi.

– Eylan, nie szalej tak, na świętą Kaeri! – wrzasnęła księżna, jednak biegnąca ku fontannie dziewczynka zdawała się nie słyszeć matki.

– Niech się nacieszy zabawą – zaśmiała się nieznacznie Dæna. Również założyła nogę na nogę, choć z nieco większą dystynkcją. – W Dathuil jej na to nie pozwolą.

– Wciąż nie wierzę, że się na to zgodziłam! – Laevie oparła dłoń na czole. – Co oni z niej tam zrobią, jak ją będą traktować? Chłopcy pewnie zaczną jej dokuczać, jak to chłopcy, niby tacy święci, a jak przyjdzie co do czego, to potrafią być gorsi niż mężczyźni!

Dæna wyłączenie potakiwała. Wiedziała, że nie zdoła wejść w słowo siostrze, dopóki ta o coś nie zapyta.

– Chciałam posłać jej służkę, żeby miała należytą opiekę. Ale ten dureń, znaczy się nie przeor, tylko ten drugi, co zarządza z jego polecenia... żebyś wiedziała, jak on pisze listy! Połowy słów nie rozumiem, tak mędrkuje zgred jeden! A co, jeśli będzie niemiły

dla Eylan, jeśli ją ukarze? Nie zgodził się na żadną „płec niewieścią”, jak to określił. „Tylko dziewczynka”, jeszcze bez żadnych tytułów, nie „księżniczka”, o „Jej Księżęcej Wysokości” to już w ogóle można zapomnieć. „Dziewczynka”! Jakby chodziło o jakąś wiejską dziewczkę!

Przerwała słowotok, gdy nadeszła służąca z tacą. Z podłużnego mosiężnego dzbanka unosił się słodkawy aromat herbaty zaparzonej z suszonych owoców leśnych, na wzór rhandyjskich specjałów. Kobieta starannie nalała napój do trzech ceramicznych czarek, po czym ułożyła na stole miskę z ciasteczkami owsianymi oraz kolejną z kakui pokrojonymi w kostkę.

Dæna natychmiast sięgnęła po kawałek owocu i włożyła go do ust. Niepiesznie przeżuwała, delektując się ukochanym smakiem. Nie spodziewała się, że szybko dojdzie do głosu.

– Nie strofowałam go... – Księżna siorbnęła łyk gorącej herbaty. – Bo i jak? Miałam napisać wprost, że takie rzeczy to nie ze mną, bo ja sobie nie pozwolę? A zresztą, co się będę rozwodzić! Co ty o tym wszystkim sądzisz, kochana? Dobrze zrobiłam?

– Sądzę – zaczęła Dæna z pełnymi ustami i szybko przełknęła kęs – że Eylan wiele zyska na wyjeździe. Nikt w naszych stronach nie dysponuje większą wiedzą niż mnisi Proroka Urinna.

– Tylko co potem? Ona chce do Arnhain, na drugi koniec świata! Zasięgnęłam rady w tej sprawie, bo wiesz, że sama niezbyt się w tym rozeznaję, i wyobraź sobie, że na wyspie rzeczywiście kształcą się kobiety! Głównie Rhandyjki, Lanuinki i Wyspiarki, ma się rozumieć, niewiele ich tam, ale zawsze coś. Eylan, gdy się dowiedziała, to wiadomo było, że nie odpuści! Jak ja sobie dam radę bez niej? Jak Arda sobie z tym poradzi? Elska wychodzi za mąż, a Litie... Właśnie, Elska! – Zdawało się, że Laevie mówi coraz głośniejszym głosem i z coraz większą werwą. – Pisałam ci o Dulagharze, wielkim nikim? – Księżna przewróciła oczami. – Chyba napomknęłam co nieco.

Królowa zdążyła przytaknąć.

– No więc tak, w końcu padło na Lanuin, nie mamy lepszego wyboru. A ten cały naczelnik, czy jak go tam tytułują, cóż... jest nieco starszy od Elski, owszem, ale to nie powinno być przeszkodą, obie stanowimy tego najlepszy przykład! Tylko co dalej, co z Lanuin? Jeśli Elska zostałaby księżną... toż to będzie wojna!

– Nie martwiłabym się w tej chwili – zdołała wtrącić Dæna. – Gdyby Elska... – *Gdyby była moją córką*, to chciała powiedzieć, lecz ugryzła się w język. – Owszem, ślub może wywołać zamieszki... ale dopóki twój drogi Wilk rządzi Ardą, sytuacja Lanuin praktycznie się nie zmieni. Podwójna Wyspa zachowa pozorną niezależność, tyle że od was, w zamian za Rhandię i Archipelag. A do tego zyska mądrą władczynię.

– Z tą mądrością bym nie przesadzała! – Laevie machnęła ręką i zachichotała. – Swoje tam dziewczyna wie, tyle że nie więcej niż inne panny w jej wieku. Ale ma dobre serce, może nieco zbyt płochliwe, niemniej to też typowe, jeszcze zdąży z tego wyrosnąć. Lanuińczycy będą przeszczęśliwi, jestem przekonana, że nie zapomnieli... Wybacz, moja droga. – Chwyciła dłoń królowej. – Saphed wciąż się nie odnalazł?

Dæna wzruszyła ramionami i posmutniała. Zebrała jednak w sobie wystarczająco sił, by się nie rozkleić.

– Jest jeszcze Leidha – ciągnęła księżna. – Nasz ojczulek już nie taki młody, ja też nie będę wieczna... Elska ma szansę rządzić wszystkimi trzema państwami! Wyobrażasz to sobie? Tego pragnę dla niej najbardziej. Tego pragnęłaby jej matka, niech Kaeri otacza ją opieką. – Splotła dłonie w błagalnym geście. – Chciałabym, żeby poszła w twoje ślady, Dæno. – Spojrzała siostrze w oczy. Spoważniała, co było do niej niepodobne. – Jeśli w Lanuin znów wybuchnie wojna, a obie dobrze wiemy, że o to nietrudno... ktoś musi pomagać sierotom, wykarmić je, znaleźć im dom. To najważniejsze zadanie każdej kobiety u władzy. Bronić bezbronnych.

Królowa przytaknęła, szczerze przyznając Laevie rację. Wróciło do niej wspomnienie tamtych dni, ślady wojennej pożogi

i rhandyjskie niemowlę, w którym się zakochała od pierwszego wejrzenia. *Tak, wszyscy zasługują na tyle szczęścia co Wicherek*, przyznała w duchu.

– Gdzie ta dziewczyna się podziała? – Księżna rozejrzała się, zasłaniając oczy przed górującym w zenicie słońcem. – Właśnie dlatego chciałam zapewnić jej opiekę. Ci mniszkwowie nie dadzą sobie z nią rady!

– Myślę, że nie z takimi dziećmi mieli do czynienia. Nauczą ją dyscypliny.

– Byłe nie za bardzo! – zaśmiała się Laevie. – Zastanawiam się, kto tu kogo będzie dyscyplinował!

Siedziały jeszcze jakiś czas w ogrodzie, rozmawiając o sprawach błahych i przyjemnych. Królowa zaskakująco dobrze znosiła obecność siostry. Uświadomiła sobie, że brakowało jej towarzystwa kogoś zaufanego. Z radością, ale i przygnębieniem obserwowała Eylan biegnącą po ścieżynkach i wążającą kwiaty. Kochała siostrzenicę jak córkę, której nigdy nie miała i prawdopodobnie mieć nie będzie. Chyba że...

– To teraz powiedz mi o... sama wiesz kim – rzuciła niespodziewanie Laevie, opierając łokcie na stole. – O tym, co tu się tak właściwie wyprawia.

Dæna najchętniej udalaaby, że się nie domyśla, o czym mówi siostra. Jednak wpatrzone w nią jaskrawe dziewczęce oczy natychmiast wychwyciłyby kłamstwo. Zwlekała chwilę z odpowiedzią, po czym odchrząknęła i zarzuciła miodowe włosy na plecy.

– Cóż... poszukiwania trwają – odparła obojętnie, wręcz oschle. – Jeśli ją znajdą...

– Czy on na głowę upadł?! – Księżna z impetem uderzyła pięścią o blat.

Dæna rozejrzała się nerwowo, by sprawdzić, czy ktoś ze służby nie usłyszał hałasu.

– Wiesz, co na wyspach Archipelagu robi się z bękartami? Wrzuca do zimnej wody albo zostawia na krze. To jakiś męski fetysz

czy co? Nie chcę cię niepokoić, po prostu będę szczerą... Jeśli ta twoja przybrana córka okaże się taka jak Litie... Tak, wiem, nie masz na to wpływu, ja też nie miałam. Ona była pierwsza. One zawsze są pierwsze.

Dæna poczuła skręt żołądka i przyspieszone bicie serca. Nie chciała o tym rozmawiać, wołałaby jak najszybciej zmienić temat. Laevie jednak nie zamierzała odpuszczać.

– Zobaczysz, będzie to samo. Z ostatniego miejsca wskoczy na pierwsze, skundlona bestia. Zacznie się rządzić, robić na złość, wyprowadzać służbę z równowagi... Przepraszam cię, najdroższa, ja po prostu...

– Rozumiem – rzuciła smutno.

Trudno jej było nie zgodzić się z siostrą, jednak Laevie myliła się co do tego, że Dæna nie ma żadnego wpływu. Ale o tym królowa nie mogła powiedzieć. Zbyt wielkie podjęłaby ryzyko.

– Zdążyłam się już z tym pogodzić – dodała.

– Och, gdybyś tylko mogła... Gdyby Xander był wśród nas...

O tym również królowa nie chciała rozmawiać. Uważała, że pewne ciężary trzeba nosić w pojedynkę.

Eylan musiała się zmęczyć gonitwą, bo przydreptała zdyszana i usiadła obok matki.

– Cała się spociłaś – burknęła Laevie i odgarnęła córce pozlepiane włosy z czoła. – Co tam trzymasz? – zainteresowała się, spoglądając na dłonie dziewczynki schowane pod stołem.

– Znalazłam w różanym krzewie – odparła zawstydzona. – Czyje to może być?

Pod wpływem matczynego spojrzenia wyciągnęła ręce i niepewnym ruchem położyła znalezisko na blat. Laevie pisnęła, królowa zaś doznała wrażenia, jakby ktoś wywrócił jej żołądek na drugą stronę.

– Dæno, co... Wiesz coś o tym?!

Władczyni spuściła wzrok, serce biło jej jak szalone. Jakakolwiek odpowiedź, czy nawet jej brak, nie załagodziłyby sytuacji.

– Czy ty...? – Laevie ściszyła głos do szeptu. – Z nimi...?

– Nie tutaj. – Tylko tyle była w stanie wydusić.

Ktoś inny podjął tę decyzję za nią. Teraz już musiała być z siostrą szczerą, nie zdołałaby wymyślić wiarygodnego kłamstwa. A nawet jeśli... jak wytłumaczyłaby się ze skrawka materiału oderwanego od purpurowej koszuli?

Wejdź do świata Białego i Czarnej!

Facebook

facebook.com/nkubicius

Instagram

instagram.com/nkubicius

Linktree

linktr.ee/nkubicius